

perfect

Grzegorz Markowski

Jaskinia wyzwolonego dźwięku

Grzegorz Markowski nie przejmie się kameralną atmosferą hotelowego barku, w którym się spotkaliśmy. Włącza radiomagnetofon i słuchamy kilku utworów z dopiero co nagranej płyty. Płyta nazywa się *Geny* i pewnie już będzie w sprzedaży, gdy ten tekst ukaże się drukiem. To drugi album Perfectu w składzie, w którym – oprócz Markowskiego – są także znani z tej grupy Andrzej Nowicki, Ryszard Sygittowicz, Piotr Szkudelski i nowy muzyk, ale również estradowy weteran – Jacek Krzaklewski. Tak więc Zbigniew Hołdys naprawdę może poczuć się rockowym Pigmalionem. To on przecież powołał do życia rockowy Perfect, reorganizując swą popową grupę o takiej właśnie nazwie. To on skomponował repertuar zespołu, z którym w początku 1981 roku wkroczył na nasz rockowy rynek, a potem przez dwa i pół roku brylował w ścistej czołówce. W kilka lat później na krótko wskrzesił swój Perfect i stało się to wydarzeniem... Kto by pomyślał, że życie dopisze do tej historii tak zaskakujący „dalszy ciąg”. Kto sądził, że Perfect może działać bez Hołdysa? Istnieć dłużej niż Perfect z Hołdysem? I co więcej: pozostać Perfectem.



BRAMY RAJU

– Początek kariery miałeś, jak na rockmana, dość szczególny. Pierwszy kontakt z szerszą publicznością: koncert „Debiuty” podczas festiwalu Opolo 75 i to jako adept Studia Piosenki ZAKR, potem muzyczny Teatr na Targówku i grupa wokalna Victoria Singers. A w październiku 1978 roku reprezentowałeś nasz kraj na festiwalu piosenkarskim w Castlebar, w Irlandii, gdzie zresztą zdobyłeś nagrodę mera tego miasta za interpretację piosenki *Little Things*, dziełka kompozytora Edmunda Berga, z którym wówczas – jak to pisano – ściśle współpracowałeś.

GRZEGORZ MARKOWSKI: Wtedy piosenkarz to był u nas ktoś, kto miał status społeczny... (śmiech)

– Jak to się stało, że trafiliście do Perfectu?

– Gdy wyjeżdżałem na festiwal do Castlebar, ukazał się mój singel. Nagrałem to w Katowicach, z orkiestrą Jerzego Miliana. Spiewałem tam takim nadętym głosem... Ten singel wpadł w ręce Zbyszka Hołdysowi. U nas zawsze była posucha, jeśli chodzi o ludzi śpiewających mocno... Moje śpiewanie wtedy pachniało sosem i zielonym groszkiem, bo miałem za sobą dwa lata karczmy, a Zbyszek puścił mi Policjantów i Pat Travers Band... Powiedział mi, że chce robić kapele, która będzie grała rock w czystej postaci, a do tego jakies takie kosmiczne smaki typu Police. Ja miałem wtedy 28 lat, już byłem żonaty, już urodziła się Patrycja i byłem po 10 latach zdobywania różnych doświadczeń muzycznych. Ale poczułem, jakby otworzyły się przede mną bramy niebios. Bo do tego czasu czułem się źle. W jednym miejscu tylko było mi dobrze: w Teatrze na Targówku. Tam nie było takiego koniunkturalizmu. Było tam miejsce, żebym zaśpiewał „Jesus Christ Superstar”.

– Czy przed Perfectem śpiewałeś z jakąś grupą rockową?

– Tak. To był zespół Watabah. Miałem 18 lat, a nazwę zespołu wzięliśmy od imienia jakiegoś Indianina z westernu. Tam przeszedłem pierwszą szkołę śpiewania. Po tych trzech latach wiedziałem, że mam duszę rockmana. Ale tak się stało, że wбили mnie w garnitur w 21 roku życia...

– Pamiętam cię z Perfectem z Rockin Jamboree 81: z krótkimi włosami, jeśli porównać z twoim dzisiejszym wyglądem, ale już półnagi, bez koszuli.

– To jakiś atawizm. Ja jestem bardzo blisko natury w myśleniu, w reakcjach. W ostatnich latach próbuję zażywać sauny, a potem wychodzić na gólasa na śnieg.

– Gdy w 1983 roku Perfect zawiesił działalność, w prasowym wywiadzie złożyłeś ta-

ką oto samokrytykę: *Powinienem rzucić palenie, ćwiczyć fizycznie, żeby mieć kondycję, która mi pozwoli wykonać dwa koncerty dziennie z zapasem...* Teraz widac po tobie, że często odwiedzasz siłownię, a estradową kondycję możesz imponować innym. Pamiętam choćby ten wasz koncert-tasie-mniec na kortach Legii w 1995 roku...

– Kiedyś, gdy śpiewałem dwa, trzy koncerty dziennie, to właściwie już mogłem sobie odpuścić inne zajęcia ruchowe (śmiech). Natomiast gdy teraz mam trzy, cztery koncerty miesięcznie, to trzeba w jakiś inny sposób dbać o kondycję.

SZEMRANY KAWALEK

– Jak przebiegała praca nad repertuarem, który trafił na pierwszą płytę Perfectu? Czy Zbigniew Hołdys rzeczywiście decydował o wszystkim?

– Często przynosił jakąś szczytkową rzecz, 20 – może 33 – procent tego, co stanowiło produkt finalny. Dopiero praca pięciu facetów wieńczyła dzieło. Choćczasami przynosił zamknięte formy. Ale też dyskutowało się, czy zagrać to bardziej ogniste, czy spowolnić... Zawsze baliśmy się konfrontacji tego, co na płycie, z tym, co na żywo. Chcieliśmy, żeby się to ze sobą zgadzało.

– Jak dzisiaj ci się podoba debiutancki longplay Perfectu?

– Wokalnie mam tam wiele zastrzeżeń. Studio odziera mnie z emocji. I powiem ci, że muszę mieć na nagranie więcej czasu, albo może walnąć sobie sobie pięćdziesiątkę, żeby powiało z mojego śpiewania swobodą.

– Na pierwszej płycie czuć jednak ten rockowy luz. Weźmy choćby gitarowe intermedium w *Baźnancim* życiu.

– Tak. Ale to trzeba dobrze wyważyć. Kiedy piosenka nie musi mieć solówki, to też jest bardzo miło. Na naszej nowej płycie jest taki utwór, w którym nie ma sola... To musi być skondensowane, chociaż z poczuciem swobody. I dopiero na koncercie panują inne prawa, można zmieniać, wydłużać utwory.

– Wielki perfectowy przebrój *Nie placz Ewka* – bardzo udana rzecz, jeśli przyłożymy kryteria tradycyjnej piosenki estradowej – podobno miał nie być nagrany.

– Tylko nadmiar czasu w studiu pozwolił nam to zarejestrować. Utwór tak ewidentnie odstawał od reszty, że obawialiśmy się, iż w porównaniu z „Bla bla bla” czy „Ale wkolo jest wesolo” zabrzmi jak jakiś szemrany kawalek.

– Ale przecież tekst Bogdana Olewicza był odpowiednio „kontestatorski”, przeciw sta-

bilizacji: proza życia to przyjaźni kat... To, co pisał Olewicz, bywało jakimś komentarzem na temat ówczesnej rzeczywistości, czasami też po prostu prowokował cwaniacko-cynicznym tonem. Jak ci się śpiewało te teksty?

— Bardzo mi pasowały. Tym bardziej, że wyszedłem z innej estetyki i to takiej dość dławiającej. Ale tak naprawdę nigdy nie byłem cyniczny. Byłem nierozważny, poepidemiczny... W naszej kapeli ludzie może są trochę zmęczeni życiem, może czasem znużeni, może zbyt mało aktywni, ale cynizmu nie ma. Dlatego możemy grać ze sobą do dzisiaj i podawać sobie ręce z przyjemnością... A teksty Olewicza kiedyś mnie po prostu poraziły. Także z powodów warsztatowych. Otwarte zgłoski zawsze były tam, gdzie „góra”. Olewicz wie prawie wszystko na temat: jak napisać tekst, żeby można go było wygodnie zaśpiewać. Tak więc nie tylko był to ten kręgosłup, ta ideologia, ale jeszcze przyjemnie się to śpiewało.

SŁOWA-KLUCZE

— Na pewno twój głos jest na tyle charakterystyczny, że stał się jednym z wyróżników Perfectu.

— Ale pamiętam, jak mi ktoś powiedział, że w paru momentach nie odróżnia mojego wokalu od wokalu Holdysa... Wyszedłem z techniki wibrata, że śpiewania po piosenkarsku i potem zmagalem się ze sobą, żeby zaśpiewać najprościej jak można... Zazdrościłem wtedy Zbyszowskiemu pewności siebie, bo sam czulem się skrepowany, malutki, niedoświadczony. Wokół używano jakichś rockmających terminów. A ja musiałem się dopiero uczyć pewnych zachowań, takiej swobody. Nawet dzisiaj czasami przychodzi mi z trudem te bardziej buńczuczne zachowania, które już mi przystoją z racji doświadczenia i wieku... I dlatego ciągle chodzi za mną taki pomysł: upiję się w jakimś niezłym hotelu, kupię parę butelek wódki i rzucę nimi w najwyższą półkę baru. I zapłacę za to, co rozbiję (śmiech).

— Czy wielki sukces Perfectu z lat 1982-83 nie był sukcesem finansowym?

— Oczywiście, że nie. Cały czas była to improwizacja i jedyne wyczuwalne pieniądze, które się pojawiły, zawdzięczaliśmy płycie „Live” wydanej przez Savitor. Pamiętam, że za honorarium kupilem od rodziców sześćdzioletnią Ładę.

— Live uważam za najlepszą płytę dawnego Perfectu. Ten zapis waszego występu w Stodole ma naprawdę wspaniałą, gorącą i rockową atmosferę, a do tego słuchamy największych przebojów.

— To była płyta zrobiona z dwóch koncertów. I jest w niej ten autentyczny, który w nas był. Jest tam ten element biologicznego ruchu: jak solówka, to się przyspiesza... Przecież jak idziesz po ulicy, to nie odmierzasz równo kroków. Ta pierwsza płyta to było wyciszczone, bez jednej bakterii, bez szaleństw, które nieśmiertelność... Też uważam, że „Live” to najlepsza płyta.

— Nagraliście Live już po zmianie składu: odeszli Ryszard Sygiltowicz i Zdzisław Zawadzki, dołączyli Andrzej Urny i Andrzej Nowicki. Jak to wpłynęło na atmosferę w zespole?

— Wawdzki działał po wianacku. Siedział, nic nie mówił i nagle oświadczał: „Chłopaki, ja przyniosę jutro pomysł na „Bażancie życie”. I przynosił coś karkołomnego, ale też tak wtopionego w muzykę, tak rasowego, tak rockowego... Takim był człowiekiem. Był człowiekiem wolnym. Ja ten stopień wolności czasami uzyskiwałem na koncertach, używając troszeczkę gorzałki. A czasami wystarczała mi taka szczególna atmosfera. Dobrze jak jest gorąco, jak jest pot, zaduch (śmiech). Gdy przy każdym ruchu oczy wychodzą ci na wierzch. Zaczyna to wtedy być taką jaskinią wywołanego dźwięku.

— Jednak Perfect robił wrażenie bardzo wykalkulowanego przedsięwzięcia, obliczonego na sukces. Zbigniew Holdys potrafił zaciekawiać słuchacza, zaznaczyć swą artystyczną indywidualność, lecz też chętnie korzystał z tego, co w rocku dobrze sprawdzone, lubiane przez szeroką publiczność. Choćby te echa Led Zeppelin w A kysz biała mysz czy Deep Purple w Idź precz. A i były eleganckie ukłony w stronę ówczesnej mody: przykładem może być Wyspa, drzewo, zamek, utwór pomyślany podobnie jak King Of Pain The Police...

— Sądzę, że był Zbyszek wtedy autentyczny, ale też pełen potwornych kompleksów. Zresz-

ta do myślenia daje to, co się z nim dzieje ostatnio: mimo zapowiedzi nie ma płyty od trzech lat... Na pewno wiedział, jak manipulować ludźmi, jak wykreować kapelę, jak wytworzyć wrażenie, że to najlepszy zespół w Polsce. A mnie coś takiego zwało z nóg. Bo nigdy się nie czulem, że biorę udział w czymś największym w kraju. Podchodziłem bardzo pokornie do muzyki, do dorobku pozostałych twórców, poczynając od Niemena, który jest u nas tym „guru” muzyki rozrywkowej. I uważam, że nie można było mówić, że byliśmy najwięksi. Natomiast Zbyszek na pewno znał takie słowa-klucze, które otwierały pewne drzwi i pewne mózgi. Nie musiał mówić bardzo głośno, bo mówił odważnie. I to trafiało do ludzi. Robiło wrażenie. Ludzie zaczęli mu ufać... Myślę, że gdybyśmy przykopali Zbyszowski w pewnym momencie, w taki towarzysko-muzyczny sposób – bo on też potrafił zagrać chujowy koncert – to może do tej pory Perfect by z nim funkcjonował.

CHĘĆ POPRAWY

— Po Live wyszła studyjna płyta UNU.

— Zabrakło Sygila, który bardzo czuł twórczość Zbyszka. W naturalny sposób miał w głowie kilka aranżacji każdego numeru. Holdys coś tam mrucał, a Sygil otwierał móżgownicę i zaraz miał pomysł na wstęp, rozwinięcie i zakończenie. Taka skarbnica talentu muzycznego i umiejętności technicznych, bo jest bardzo dobrym gitarzystą. Własnie tego zabrakło na UNU. Andrzej (Urny, też gitara – przyp. wk) był zbyt świeży. To muzyk ze Śląska, bluesman. W związku z tym najchętniej grałby utwór, który trwałby 15 minut – z tego 10 na solówkę. A w Perfekcie wszystkie piosenki były mocno aranżowane. Dużo prób, dużo ćwiczeń. Żeby wszystko było precyzyjne i w ten sposób dawało poczucie swobody. Bo te nasze koncerty były swobodne. Choć permanentnie je nagrywaliśmy, słuchaliśmy później i każda pomyłka była odnotowywana. Każdy był skruszony, jak się rypani i była taka chęć poprawy. Następnego dnia to się nie mogło powtórzyć...

— Wszystkie utwory z dużych płyt tamtego, dawnego Perfectu były kompozycjami Holdysa. O ile dobrze pamiętam nagraliście tylko jedną piosenkę kompozycji innego muzyka zespołu – Sygiltowicza: Coś dzieje się w mej biednej głowie...

— Zbyszek oczywiście namawiał nas do pisania muzyki, po czym... dawał temu odpór. Sądzę, że nie był przygotowany do tego, aby dzielić się z innymi tym perfectowym wypiekiem. Przez lata szczywał to ciasto, nosił w sobie marzenia. Dla nas zostawał zapach albo okrucy na talerzykach...

— W 1983 roku powiedziałeś w wywiadzie, że rozwiązanie Perfectu było dla ciebie szokiem. Chwaliłeś też Holdysa, że potrafił w ludziach odkrywać rejony, których sami sobie nie uświadamiali.

— Tak... (śmiech). Wracaliśmy z Berlina i zapytał mnie, dlaczego nie ćwiczę wokalu... Chociaż komplementował mnie wcześniej, że staję się rasowym wokalistą. I ja na tamto pytanie odpowiedziałem w akcie rozpaczliwym pytaniem: „Dlaczego ty nie ćwiczysz na gitarze?” A za tydzień usunął mnie z zespołu. Sam przejął wtedy wokół. Dżis mogę powiedzieć, że był

człowiekiem, który nie znośił jakiegokolwiek krytyki. Był to bóg, który funkcjonował przez trzy lata... Myślę, że popełnił pewien błąd. W tym wszystkim zapomniał o ludziach. Dla mnie w muzyce jest pięknie: wszyscy tu jesteśmy towarzyszami dołi i niedoli. To świat, w którym nie ma nic brudnego. Tak postrzegałem muzykę i tak postrzegam ją teraz. Dala mi możliwość dotarcia do ludzi i przeżycia fantastycznych dni.

MARILYN MONROE

— Dlaczego nie udało ci się twoja solowa płyta z 1986 roku, Kolorowy telewizor? I jak to się stało, że niektóre z piosenek, począwszy od tytułowej, robią wrażenie bledego odbicia utworów Perfectu?

— Rzecz nie może się udać, gdy bierze się kilku fajnych, ale niedoświadczonych muzyków... Zresztą płytę „Geny” robiło pięciu doświadczonych facetów i też rodziła się w bólach. Wszystko przekopane, przepoczone. Solówki miały po cztery wersje... A tamto było robione zbyt pobieżnie, za szybko. Za wiele miałem na głowie, ja to wszystko organizowałem. Wszyscy byli gołi – ja to finansowałem. Prowadziłem już wtedy roboty budowlane i to jakoś pozwalało mi funkcjonować finansowo...

— Skąd te długie przerwy w zawodowym śpiewaniu? Rzeczywiście dobrze czuleś się w roli szefa firmy budowlanej?

— Powiem tak: kiedy się już spało z Marilyn Monroe, to nie chciało się starej, kulawej prostytutki... Z Perfectem nie miałem grać trasę w Niemczech. Była to jakby zapowiedź naszego wejścia do Europy. Nie mieliśmy kompleksów. Byłem pokorny wobec muzyki, strasznie się denerwowałem przed każdym koncertem – zostało mi to do dziś – ale zagrałibyśmy z wawo nawet jako support Stonesów.

— W 1987 roku przyjąłeś propozycję Holdysa i zaśpiewałeś z reaktywowanym na kilka koncertów Perfectem. Był koncert-gigant Perfect Day na warszawskim Stadionie Dziesięciolecia, wystąpiliście też w gańskiej Olivii, co zostało utrwalone aż na trzech analogowych płytach.

— Ten materiał był źle nagrany i źle zgrany. To tylko dokument. Tam powiało czymś, co miało się stać, ale się nie stało. Po takim powstaniu z popiołów człowiek nie jest jednak w stanie szybko się otrząsnąć. „Perfect Day” był pięknym hasłem, na stadionie był wspaniały klimat, ale ja nie byłem do końca przekonany: bałem się, czy nie zacznę się jakieś skrzyknienie. Dźwiękiem ufalem, ale ludziom już przestałem ufać.

— Czy Holdys długo musiał cię namawiać, żebyś zaśpiewał z wskrzeszonym Perfectem?

— Nie. Uważałem go za bardzo ważną osobę w moim życiu, pomimo żalów i pretensji, jakie miałem. Nigdy nie pozbędę się dużej dozy sympatii, którą mam dla niego. I miałem taką cichą nadzieję, że jakaś równowaga w tym zespole zapanuje. Że to już będzie paterstwo. I oczywiście tak się nie stało. Sądzę, że cała moja psychika się na tym skupiła: bądź ostrożny. Nawet nie przerywaliśmy robót budowlanych... Gdy ktoś zapalił na stadionie kawałek papieru toaletowego, to prasa zachod-

nia pisała, że palono „Trybunę Ludu”. Był ten posmak skandalu. I widziałem tę radochę Zbyszka, że urządził igrzyska. Potem przyszły propozycje koncertów ze Stanów, a on dyktował jakieś niesamowite ceny. Odnosił się do Ameryki w taki sposób, jakby z Turcji dzwoniłi, żeby tam zagrać na dyskotece.

SPIRYTUS

— Może opowiedziałbyś o kulisach zbiorci Perfectu na koncerty w Kanadzie, w 1993 roku?...

— Osiem miesięcy trwały rozmowy. Osiem miesięcy opierałem się, bo czulem się, jakby mnie wydmal najlepszy przyjaciel, a potem chciał pójść ze mną na kolację (śmiech). W końcu pomyślałem sobie, że jestem w stanie przeżyć taką wycieczkę. Okularki ciemne typu włoski alfons, włoski krótko przycięty typ włoski kelner... I trzynastcie kilo więcej niż teraz. Zero kondycji. No i był szok: siada pięciu facetów, którzy nie widzieli się tyle lat i to poszła!

— Gdzie zagrałiście pierwszy koncert?

— W Toronto. Taka elegancka sala, chyba na prawie tysiąc osób. Wymagało to spięcia się, choć ludzie wiedzieli, że nie istniejejmy, że przyjechalibyśmy tylko na siedem koncertów do Kanady. Sądzę, że był to dobry koncert, ale przyjęli nas tak bekrzytycznie... Owacjom nie było końca. Po Kanadzie jeszcze miałem taki odruch asekurancki: „Boże, jest pięknie, ale czy tego szczęścia nie za dużo?” I dopiero ten Spodek w styczniu 94 przekonał mnie ostatecznie... Grałiśmy bez lidera – to było ogromne wyzwanie. Jakbyś wyciął sobie nerkę i został alkoholikiem. Ale okazuje się, że bez nerki też można pić spirytus. Przyszło z siedem tysięcy ludzi. Sukces. Później wyszły z tego dwie kasety, gdzie nie musiałem nic poprawiać. I właściwie to dopiero przesądziło.

— Myślałem, że punktem zwrotnym była płyta Jestem. Przecież tu dopiero udowodniłiście, że Perfect może tworzyć nowy repertuar bez Holdysa. Jak to wyglądało z bliska?

— Wszyscy byli tak bardzo skupieni. Czuliśmy na sobie ciężar legendy zespołu.

— Trudno się oprzeć temu wrażeniu, że niektóre utwory są w klimacie dawnych przebojów Perfectu.

— Bo to prawda. Może to wynikało z podświadomości, chociaż też Andrzej Nowicki próbował pilnować pewnej estetyki. W sensie stylistycznym nic się nie zmieniło – mimo upływu lat, mimo nowych mód. Ta dawna stylistyka była nam najbliższa.

— A jak ci się teraz słucha Jestem?

— Pewne rzeczy oczywiście bym zmienił. Ze trzy utwory są dla mnie przełajnowane – muzycznie i tekstowo.

— Przejdźmy do najnowszej płyty, Geny. Po raz pierwszy zdarzyło ci się nagrać piosenkę z własnym tekstem: Dzisiaj czuję się jak lew.

— Jak człowiek chodzi uprawiać ciężarki, to faktycznie tak się czuje. Kiedyś po siłowni poszliśmy z psami do lasu, był piękny, mroźny dzień, usiedliśmy na śniegu i napisaliśmy tekst w ciągu pięciu minut.

— Napisałiście?

— Napisałem to z żoną (śmiech).

— Wyraźnie rozkręciłeś się: jesteś też kompozytorem większości piosenek z Genów.

— Nie miałem ochoty być nadwornym kompozytorem Perfectu, bo nigdy się kimś takim nie czulem. Ale komponowałem coś sobie ze strachu, że będzie brakowało piosenek. Bo gdy nagrywaliśmy „Jestem”, Rysio miał w zapasie jakieś utwory... Siadałem więc w mojej piwnicy: czwarta kawa, sześćdziesiąty papieros, może zrobić tak, a może inaczej? I faktycznie było w czym wybierać. Mojego materiału było najwięcej.

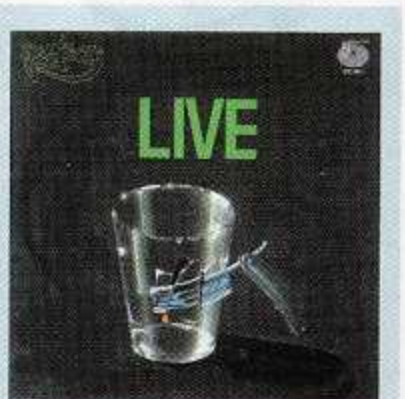
— Czy coś sobie postanowiliście przed nagraniem?

— Płyta miała być bardziej radosna i bardziej rockowa. Chcieliśmy, żeby nie było tego smętku, który jest w mediach. To się chyba nie udało się do końca. Ale też z Perfectu nigdy nie był taki wesoty zespół. I nie byłoby dobrze, gdybyśmy się stali wesolkowaci.

rozmawiał: WIESŁAW KRÓLIKOWSKI



Perfect
Polskie Nagrania Muza, 1982
Lokomotywa z ogłoszenia; Chcemy być sobą; Obracam w palcach złoty pieniądz; Bła, bła, bła; Niewiele ci mogę dać; Bażancie życie; Ale wokoło jest wesota; Nie igraj ze mną wtedy, kiedy gram; Nie płacz Ewka
Skład: Zbigniew Holdys – g, p, voc; Grzegorz Markowski – voc; Ryszard Sygiltowicz – g; Zdzisław Zawadzki – b; Piotr Szukalski – dr



Live
Savitor, 1983
Po ca; Idź precz; Chcemy być sobą; Opanuj się; Nieme kino; Chce mi się z czegoś śmiać; Pepe wróć; Autobiografia; Pocztówka do państwa Jareckich; Nie płacz Ewka
Skład: Zbigniew Holdys – g, voc; Grzegorz Markowski – voc; Andrzej Urny – g; Andrzej Nowicki – b; Piotr Szukalski – dr